

*Bożena Klimaszewska*

# DRUGA STRONA MAŁEJ PLANETY

*– Gmina Augustów w słowach i obrazach*





Redaktor:

*Bożena Klimaszewska*

Opracowanie graficzne i druk:

*Biuro Usług Informatyczno-Edytorskich „BAUHAUS”, Białystok*

Korekta:

*Lucyna Lewkiewicz*

Reprodukcja obrazów Bożeny Klimaszewskiej:

*Ryszard Młodzianowski*

ISBN 978-83-936855-1-6

Copyright by Bożena Klimaszewska

Wydawca:

*Biblioteka Publiczna Gminy Augustów w Żarnowie*

*Żarnowo Drugie 16, 16-300 Augustów*

*Nakład: 1000 egz.*



Operację zrealizowano w ramach projektu realizowanego przez Bibliotekę Publiczną Gminy Augustów w Żarnowie, w ramach działania 413 „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju” objętych PROW 2007-2013, za pośrednictwem Stowarzyszenia „Lokalna Grupa Działania – Kanał Augustowski i Rospuda”, pt. Wydanie publikacji „Druga strona małej planety” – Gmina Augustów w słowach i obrazach.

## SPIS TREŚCI

WSTĘP .....	7
PO DRUGIEJ STRONIE MAŁEJ PLANETY .....	8
.....	10
BRZOZA Z TUNDRY .....	11
BOCIAN .....	12
ROSA PISANE .....	12
MÓJ ŚWIAT .....	14
MAJ .....	15
BEZBARWNI .....	16
*** .....	17
WIOSNA .....	18
LETNIE POPOŁUDNIE .....	19
MAJ .....	20
BEZ .....	22
KWIAT PAPROCI .....	24
ŚWIERSZCZ .....	25
KAPLICZKA .....	27
JAK GDYBY NIGDY NIC .....	29
JESIENNE DZIEWCZYNY .....	30
WYMALUJ MI JESIEŃ .....	32
OSTATNIE ŻŁOTO .....	35
JESIEŃ .....	37
JESIEŃ .....	38
JESIENNY SMUTKU .....	41
*** .....	42



*** .....	43
XXX .....	45
GRUDZIĘŃ .....	46
*** .....	47
CISZA .....	48
WIATR .....	49
WOŁANIE .....	50
LAS MOJA MIŁOŚĆ .....	51
*** .....	52
KONCERT .....	53
WRÓCIŁEŚ .....	55
PRZED CHATĄ .....	55
SŁODKOŚCI LATA .....	57
GOŁĄB .....	58
KROPELKA .....	60
WRÓBELKI .....	61
*** .....	62
KWITNĄCY SAD .....	62
TROPAMI WILCZYCY .....	64
ĆWIRAS .....	67
W OBLICZU JESIENI .....	70
NA GRZYBY .....	71
PTAKI MOJE PTAKI .....	73
MACIA WIGILII .....	78



## WSTĘP

*„Wiersze są w nas  
i tylko od nas*

*zależy czy je uwolnimy”*

*(Paul Celan – „Psalm i inne wiersze”)*

Spełniło się moje marzenie. Nie pamiętam, kiedy zaczęła się moja fascynacja przyrodą. Może więc zdarzyło się to, kiedy wychowywałam się pod czujnym okiem rodziców na śródleśnych polanach Puszczy Augustowskiej. Potem przyszły podróże bliskie i dalekie w poszukiwaniu sercem, tego co nie zostało skażone cywilizacją ... i wreszcie chęć uwiecznienia tego wszystkiego.

Nieuchwytny, tajemniczy charakter przyrody inspirował mnie zawsze. Wzorowałam się na wielu mistrzach. Piękno i lekkość barwnych kompozycji przelałam najpierw na płótno. Gra światła i cienia na kwiatach i liściach wzbudzała mój zachwyt. Malowałam pędzlem, później piórem. Nadal jest to dla mnie cudowna chwila relaksu, wielka przyjemność połączona z radością obcowania z naturą. Piszę, maluję, więc jestem. Codziennie doświadczam obcowania z przyrodą, słyszę śpiew ptaków, brzęczenie owadów w lesie i na łąkach przepełnionych zapachem kwiatów. Zieleń i cała paleta barw poszczególnych pór roku oślania i ozdabia wszystko dookoła, nadając krajobrazowi swojski, kojący charakter. To moja kraina szczęśliwości, wokół pola, lasy i łąki – idealne miejsce życia dla ludzi. To krajobraz Augustowszczyzny – cudowny i bogaty. Jest tu także miejsce na miłość. Dzielę się uczuciami, oko cieszę barwami i formami, dostrzegam piękno w zwyczajności i powszedniości. To moja opowieść o domu, łagodnym istnieniu w zgodzie z naturą, w której nic nie rani człowieka.

Zmienność pór roku, barw z zimowych na wiosenne, z wiosennych na letnie, z letnich na jesienne towarzyszyła mi od zawsze i jest nadal ze mną. „Widzę i opisuję” – jak powiedział poeta Adam Mickiewicz w inwokacji do „Pana Tadeusza” a ja dodam jeszcze „i maluję”. Jest w tym wszystkim piękno i cisza, spokój i odpoczynek. W opowiadaniach pochylałam się nad cierpieniem zwierząt i ptaków, jestem przejęta losem tak mocno dotkniętym, uśmiecham się do aniołów nad moim niebem, koloruję szary świat, tu wszystko jest prawdziwe, nawet łzy i cierpienie.

Myślę, że utwory dostarczą czytelnikom wielu miłych wrażeń. Książka jest miłą dla oka, w ładnej szacie graficznej, z fotografiami moich obrazów zgrabnie komponującymi się z treścią liryków i opowiadań.

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki, w której sławię urodę wsi i czerpię z niej radość życia, a przede wszystkim Bibliotece Publicznej Gminy Augustów w Żarnowie, Urzędowi Gminy Augustów, Stowarzyszeniu „Lokalna Grupa Działania – Kanał Augustowski i Rospuda”.

Bożena Klimaszewska



PO DRUGIEJ STRONIE MAŁEJ  
PLANETY

*Z mego okna  
Przez które latem  
Wiatr wpada w firany  
I dmie w nie niczym żagle  
Oglądam świat  
Znam tu każdego wróbla  
Jaskółkę co na lato  
Wpada do mnie z za morza  
Wesołą pliszkę  
Świergoczące stado szpaków  
Boćka w czerwonych butach  
Pianie koguta tuż po trzeciej  
Zachwycam się  
Każdym listkiem tańczącym  
Niby motylek  
Ostatnim rozkwitniętym astrem  
Chocholeń w zimowej zaspie  
Kurhanem kremowych zawilców  
Koronką szronu na drutach  
I Tobą w gumowych butach*

*Nocą i świtem  
Dniem i porankiem  
Soplem i pajęczyną które  
Zwisają nad gankiem  
Zbożem co kłania się Bogu  
Słońcem i deszczem  
I ptasim piórkiem na moim progu  
I tylko Wam powierzam  
Życia mojego sekrety  
Bo ja  
Mieszkam zwyczajnie  
Po drugiej stronie  
Małej planety.*







....

*Stanąć u źródeł  
Gdzie początek drogi  
Krętymi ścieżkami  
Prowadzi do celu  
Nie zawsze w słońcu  
Przejsć przez pory roku  
I zostawić swój mały ślad  
Na Augustowskiej Ziemi*



## BRZOZA Z TUNDRY

*Jestem jak brzoza z tundry  
Mała, karłowata i brzydka  
Mocno wrosłam w to miejsce  
Moje ręce żyłaste konary  
Od dźwigania toreb z zakupami  
Na czwarte piętro  
Nogi jak dwie kłody  
Trudno je unieść wieczorem  
Nie bywam daleko  
Bo drzewa nie podróżują  
Moja cera  
Kora spękana  
Kiedy w dłoniach chowam twarz  
By odmówić wieczorny pacierz  
I tak dzień za dniem  
Za nocą noc*

*Chociaż nie powiem  
Jestem czasem piękna  
Najczęściej na wiosnę  
Znów mam nowe pomysły  
Chcę coś zmienić  
Wtedy często spoglądam w niebo  
Gdzie fruwać  
Sąsiada białe gołębie  
Tylko ten twój chłód mnie trzyma  
Ciągłe go czuję od ciebie  
Mój dębnie*







## BOCIAN

*Ostatni śnieg  
Uparcie lata brudne pola  
I rozległe łąki  
Na wierzbach pęcznieją bazy  
Z nadzieją wiosny  
Dziękuję jej jak co roku  
Że znów powrócił bociek  
Na miejsce swego gniazdowania  
U sąsiadów nowe życie –  
- Dziecko przyszło na świat  
A może przyniósł go bocian  
Ktoś zostawił mi przylaszczki pod drzwiami  
Dziecko płacze  
A bocian skoro świt  
Budzi dzień radosnym klekotem  
A potem przemierza łąki  
Czerwonymi nogami*

## ROSA PISANE

*Marzę o łące zielonej  
Kroplami rosy  
Obficie zmoczonej  
W której odbija się słońce  
Nie jedno – tysiące*

*Tęsknię za łąką  
Skarbnicą kwiatów  
Co jak tęcza  
W promieniach słońca się mieni  
I igra przed oczami  
Wachlarza zmiennymi barwami*

*Gdy coraz to nowe kwiaty  
W pąkach tulone -  
- Strzelają  
W barwną rozety koronę*

*Marzę o łące  
Pełnej gwiazd migocących  
Widziadeł i tajemniczych cieni  
Gdy zmrok się czai przy ziemi  
Tęsknię za łąką  
Co jak pancierz mnie chroni  
Od głosów metropolii  
Tęsknię – aż boli*





## MÓJ ŚWIAT

*Mój świat nie musi być duży  
Nie musi być bogaty  
Byle by w nim były  
Słońce i kwiaty  
A nasze dłonie wśród maków  
Niech czas splata jak skrzydła ptaków  
Byle by w tym świecie  
Jak deszcz spadały ciepłe słowa  
I wszystko niech byłoby jak obraz  
Który kiedyś sam Bóg namalował*





MAJ

*Dobrze, że to jeszcze maj  
A nie czerwiec  
Albo późny lipiec  
Nie chcę jeszcze słyszeć  
Pasikonikowych skrzypiec*

*Niech wszystko rośnie  
Niech zakwita  
Jak długo trwa maj?  
- Czasem długo  
A kto pyta?*





## BEZBARWNI

*Popatrz świat się zmienia  
Z gąsienicy w pięknego motyla  
Wiatr porywa spojrzenia  
Usta rozchyła*

*Co chwilę ktoś kwitnie  
I wszystko się zieleni  
Miłość strzela pękami  
Tylko My  
Obok siebie  
Bezbarwni jak tamtej jesieni*





\*\*\*

*Za oknem motyl  
Jak liść  
Złotym skrzydłem  
Musnął szybę  
Chcesz wiedzieć  
Co było potem  
Zazdrościłam Ci  
Twojej wolności  
Lekkości i wokół Ciebie piękna  
Ja wciąż jestem zajęta  
Upycham lato w słoiki  
Robię sałatki słodkie powidła  
I chciałabym tak polecieć  
Tam gdzie Ty  
Na motyliach skrzydłach*





## WIOSNA

*Jak pięknie  
Świeża zieleń  
Niczym suknią  
Okrywa ziemię  
Skowronek pofrunął  
Pod sufit nieba  
I stąd wygląda jak kamyk  
Rzucony w obłok  
Tylko kamień nie śpiewa  
Rankiem pąki strzelają  
Na wiwat dnia nowego  
A ja zachwycona stoję  
Bo nie widziałam  
Nic piękniejszego*



## LETNIE POPOŁUDNIE

*Rozmarzyłam się w ciszy domowej  
Zastuchana w śpiew lipy na dworze  
Zapatrzyłam się w niebo gdzie sosny  
Tak po nocy do chmur aż urosły*

*W oknie jaśmin jak na szklanym ekranie  
Strzela z pąków nowymi kwiatami  
Wiatr przeleciał nade mną z marzeniami  
Świeżo skoszonej łąki*

*Niech wiatr leci, on wolny jak ptaki  
Niech się sosny nacieszą chmurami  
Niech gałęzie lipy śpiew ptasi kołyszą  
A ja swą duszę nasycę tą ciszą*





## MAJ

*Niech pan  
Tego głośno nie mówi  
Niech pan  
Tylko szepce do ucha  
Że wszystko w koło  
rozkwita  
Że bzem  
Pańska głowa nabita  
Że pan i ze mną  
I z majem  
Umówił się dziś  
Nad ruczajem  
Gdzie kląskać w ka-  
linach  
Będą słowiki  
A serca nasze  
W rytm majowej  
muzyki  
Zatańczą nad Nettą  
Nad Biebrzą  
Nad Hańczą  
Szeptał coś pan  
Że kocha  
Nie usłyszałem  
Słowik zaszlochał*











## BEZ

*Pachnie mi bzem*

*W wazonie*

*W ogrodzie*

*Za oknem*

*W samochodzie*

*Bez*

*Liliowy i biały*

*Kremowe naręcze*

*Ten dziki przy drodze*

*Szczepiony w ogrodzie*

*Bez – bzy*

*I proszę mi wierzyć*

*Jak Polska jest krajem*

*Maj bez bzów*

*Nie byłby majem*





## KWIAT PAPROCI

*W tę jedną noc  
Gwiazdy schodzą na ziemię  
Świecą robaczki w trawach  
Tam gdzie najciemniej*

*Tylko w tę noc  
Paprocí kwiat rozkwita  
Niby błądy świt się różowi  
Ginie, przekwita*

*Czy szczęśliwy ten  
Kto go zerwie przed świtem  
Czy wszystko to prawda  
Czy tylko jest mitem*



## ŚWIERSZCZ

*Pierwszy dzień lata  
Uczcić chciał świerszcz polny  
Nastroił swoje skrzypeczki  
Roziadł się wygodnie  
I zagrał  
Najpierw coś skocznego  
Aż biedronkom zatańczyły kropki  
Potem przeszedł do Mozarta*

*No i rozpląkało się niebo  
Chłodem powiało  
Świerszcz zwinął swoje nuty  
W futerale schował skrzypeczki  
I dał nura do swej nory  
Do tej pory go nie widziano  
Obraził się na lato  
A może jest chory*









## KAPLICZKA

*Tam w polu gdzieś klęka  
Sierpniowa udreka  
I nawet Maryja*

*Jakby niczyja  
Choć wszystkich kochała  
To w te upalne popołudnie  
W kapliczce sama została*





## JAK GDYBY NIGDY NIC

*I tak jak gdyby nigdy nic  
Odplynęło lato  
I tak jak gdyby nigdy nic  
Przyszła jesień  
Już jej pełno  
Po ogrodach i sadach  
Jeszcze złota rumiana  
Jeszcze wesola nie smutna  
Lecz już od jutra  
Najdalej od soboty  
Zaczną się jesienne słoty  
Opadną liście  
Dziki taniec  
Ostatni klucz ptaków  
Jak różaniec  
Odplynie jak wszystko –  
– W niepamięć*





## JESIENNE DZIEWCZYNY

*Jesienne dziewczyny  
W pajęczynę spowite i mgłę  
Ze złotym liściem we włosach  
Ze złotym liściem przy kłapie  
Jarzębiny dawno rozkwasił czas  
Jeszcze czerwień dzikiej róży  
Z jagód będą korale i brosze  
I śnieguliczki – perły  
Bezcenne na krzakach  
Idą dziewczyny parkiem  
Szron mają we włosach  
I resztki babiego lata  
Idą by rozplynąć się  
W ciemnych korytarzach  
Gdzie za drzwiami kotka powita  
Jedyny przyjaciel przy nadziei  
A wiatr za ich samotność  
Z tęsknotę  
Z łoskotem zamknie drzwi.*







## WYMALUJ MI JESIEŃ

*Taką mi jesień  
Wymaluj przy drogach  
Złoto – czerwono – rudą  
Niech tli się  
Pali  
Niczym pochodnia  
Nim liście na ziemię runą  
Zanim się wszystko zmiesza  
Zatańczy z wiatrem  
Poleci daleko w przestworza  
Namaluj mi miły  
Ogrody i sady  
I chmury  
W marzeniach – tam sięgnąć można  
A kiedy wiatr  
Zagra na strunach  
I z siłą uderzy w klawisze  
I szarpnie za złoto  
Za czerwień  
I w błoto  
I zbruka marzenie i ciszę –  
- Poproś mnie tylko do tańca  
Jak jesień odchodzi  
Tańczmy  
Niech nie słyszę*













## OSTATNIE ŻŁOTO

*Już po balu jesieni  
Już po złocie  
To co było czerwienią  
Zbrązowiło zszarzało  
Szumne suknie  
Nurzają się w błocie  
Już nie frunie nad polem  
Babie lato plecione w warkocze  
Nagość brzozy zawstydzą  
I nagie drżą topole  
Krzepkie olchy nad rowem  
Poczerniały o wschodzie  
Pograbiały od chłodu  
Chmurne grabom gałęzie  
Klon od góry  
Niczym pierzyna rozpruty  
Drapie niebo gałęziami  
Jak kolczaste druty  
Tylko nisko przy ziemi  
Ukryło się złoto  
Rozbawiony wiatr poderwie go  
Przypnie w klapę tym  
Co przez puszcę  
Idą piechotą*







## JESIEŃ

*W fioletach i różach  
Rozkwitłych astrów  
W ostrości słońca  
Co pada z ukosa  
Na szmaragdowe łąki  
Gdzie długo zimna rosa  
Na pochylone w zadumie  
Głowy słoneczników*

*Ujrzałam jesień  
Wśród żurawich krzyków  
Nie będzie tak zielono –  
- Monotonnie zielono  
Jesień kładzie temu kres  
Sama też ubiera się na czerwono  
A w koło sypie złotem  
Brązowymi kasztanami  
Chodźmy przez zaorane pole  
Nie oglądajmy się  
Lato jest już za nami*

*Pożegnamy ptaki  
W ogrodzie i sadzie  
Patrz – jesień jak Ewa  
Dojrzałe jabłka na dłoniach nam kładzie*



## JESIEŃ

*Popatrz kochany  
To już jesień  
A tyle się działo  
Tego roku  
Cierpkie kaliny  
Barwi wrzesień  
W liliowych wrzosach  
W mgłę ranki obleka  
Kluczem żurawim  
Zamyka dzień  
Tyle pajęczyn  
Tyle dróg  
Przy miedzy jarzębina  
Koralami się wdzięczy  
Ach gdybyś kochany tylko mógł  
Zatrzymać czas  
Nic więcej*









## JESIENNY SMUTKU

*Jesienny smutku  
Wracasz do mnie  
Gdy brzozy się złocą  
Klony się czerwienią  
Zawsze wracasz jesienią  
Choć wtedy ptaki  
Uciekają za morze  
Ty jednak wracasz  
Odlecieć nie możesz  
Bo zbyt długie wieczory  
Na smutne przy ogniu czuwanie  
Siadasz wtedy przy mnie  
I jak liść na wietrze – cicho szepczesz –  
– Przepraszam kochanie*





\*\*\*

*Stoję bezradna  
W obliczu jesieni  
Nie mogę powstrzymać  
Babiego Lata  
Liści  
Wyblakłej czerwieni  
Stoję bezradna  
Rozkłada ręce  
Liście tańczą*

*Wiatr  
Deszcz  
Mój zmokły parasol  
I moje zziębnięte serce  
A ćmy pukają do okien  
A ćmy z włochatym odwłokiem  
Z grubą warstwą pudru na skrzydłach  
Wśród weków – zapachu powidła  
Stoję bezradna  
W obliczu jesieni*



\*\*\*

*Nad szarym polem  
Nad rdzawym lasem  
Klucz za kluczem żurawi  
Rozpływa się we mgle  
Krzyk  
Żalodne pożeganie  
Z miejscem  
Gdzie dzieci się rodziły...*

*A wiatr postręcał  
Złoto z lipy  
A deszcz przemoczył  
Płaszcze drzew  
A chmury –  
- Jeden motek zbity  
Pełen łez*







XXX

*Nastal ten dzień  
I nadszedł czas umierania  
I tak odchodzą po kolei  
Bezimienne liście brzozy  
Kapiąc czystym złotem  
Od wierzchołków klony tłą się czerwienią  
Rdza wyżera korony dębów  
Oślizłe konary po wczorajszym deszczu  
Przyobleka szara i wilgotna mgła  
Cisza  
Na zaorany miazgach przeraźliwie  
Kracze wrona  
Aż skulił się krzyż na rozstajach  
Smutek jesienny i ziąb zagłąda  
W najgłębsze zakamarki duszy*



## GRUDZIEŃ

*Za oknem  
Wciąż złote modrzewie  
Chociaż listopad się kończy  
I puka już grudzień*

*Za oknem  
Pierwszy śnieg  
W szybach tańczy  
A może puch anielski  
Sama już nie wiem*

*Za oknem dzień grudniowy  
Leniwy jak na piecu kotka  
Rozrzuca szron po polach  
Z niewidzialnego motka*



\*\*\*

*Na te święta czekam cały rok  
Bo najpiękniejsze  
Najbardziej dziecinne  
Z tajemniczym Mikołajem  
Z prezentami pod choinką*

*Dziś podaruję Ci uśmiech  
Serce, przebaczenie  
Przelamiemy się oplatkiem  
Dłonie uściśniemy*

*Ty pocałujesz mnie  
I na chwilę zapomnimy o wszystkim  
co złe*

*Już zapada zmrok  
Pierwsza gwiazdka  
Jeszcze życzenia  
Niech w każdym domu  
Chociaż raz w roku  
Będzie Boże Narodzenie*







## CISZA

*Posłuchałam raz ciszy*

*I oto:*

*Skrzypią okna, drzwi*

*Podłoga też dyszy*

*Chomik w chodziku*

*Trenuje biegi*

*Burczy coś w zamrażalniku*

*Ćma przez okno wpadła*

*Furkoczą jej skrzydła*

*Zegar na ścianie*

*Odmierza minuty*

*Miarowe tykanie*

*Świerszcz w ogrodzie*

*Symfonie gra*

*A ja*

*Co jeszcze usłyszę?*

*Bo chyba nie ciszę.*



## WIATR

*Zapraszasz mnie dziś do tańca  
Ty zuchwały wietrze jesieni  
Zrywasz chichocząc  
Korale różańca  
Z jarzębiny nisko przy ziemi  
Potem biegiesz  
Ścieżką w bezdroża  
Wydeptaną tropem zajęcym  
Tam gdzie paproć już rdzawa  
Wciąż do słońca się wdzięczy*

*Zwijasz nicie  
Misternie plecione  
Ornamenty wilgotnych pajęczyn  
Chuchasz w liście  
Jak w dłonie  
Sypiąc złotem na świerki  
By się wzbić  
Ponad sosny  
Wysoko – wysoko  
Jakbyś to całe złoto jesieni  
Chciał Panu Bogu  
Wrzucić przez okno*





## WOŁANIE

*A tu z lewa  
Jarzębina czerwona  
A tam z prawa  
Słoneczniki pękate  
To już jesień  
Wzięła ziemię w ramiona  
Zawładnęła  
Nie tylko mym światem  
Gwiazdy niczym  
Astry w ogrodzie  
Bo spadają przekwitłe  
Gdzieś w otchłań  
Cichnie mleczna  
Droga na co dzień  
We mgle ukryło się echo  
A na ścieżce do Ciebie  
Przez pole  
Diamentami pajęczyny rozbłysły  
Kto wołanie żurawi uciszy  
Wśród powoli spadających liści*



## LAS MOJA MIŁOŚĆ

*Jestem w miejscu  
Skąd daleko wszędzie  
I do ciebie  
I do cywilizacji  
Smakuję ten ranek  
Jak mleko  
Podane z miodem do kolacji  
Na pniu brzozy siedzę  
Drugi za stół mi służy  
I oglądam jak w kinie  
Wiosenna zmianę dekoracji*

*Na pierwszym planie  
Przylaszczek i zawilców morze  
Pierwsza zieleń  
A dalej złote motyle  
Gloria ptaków  
Szum drzew  
W błękitnie kołuje jastrzęb  
Dla mnie wygląda jak orzeł  
Odplynęła gdzieś  
Wczorajsza rozterka i złość  
Kołysze mnie cisza i spokój  
I las – moja miłość*

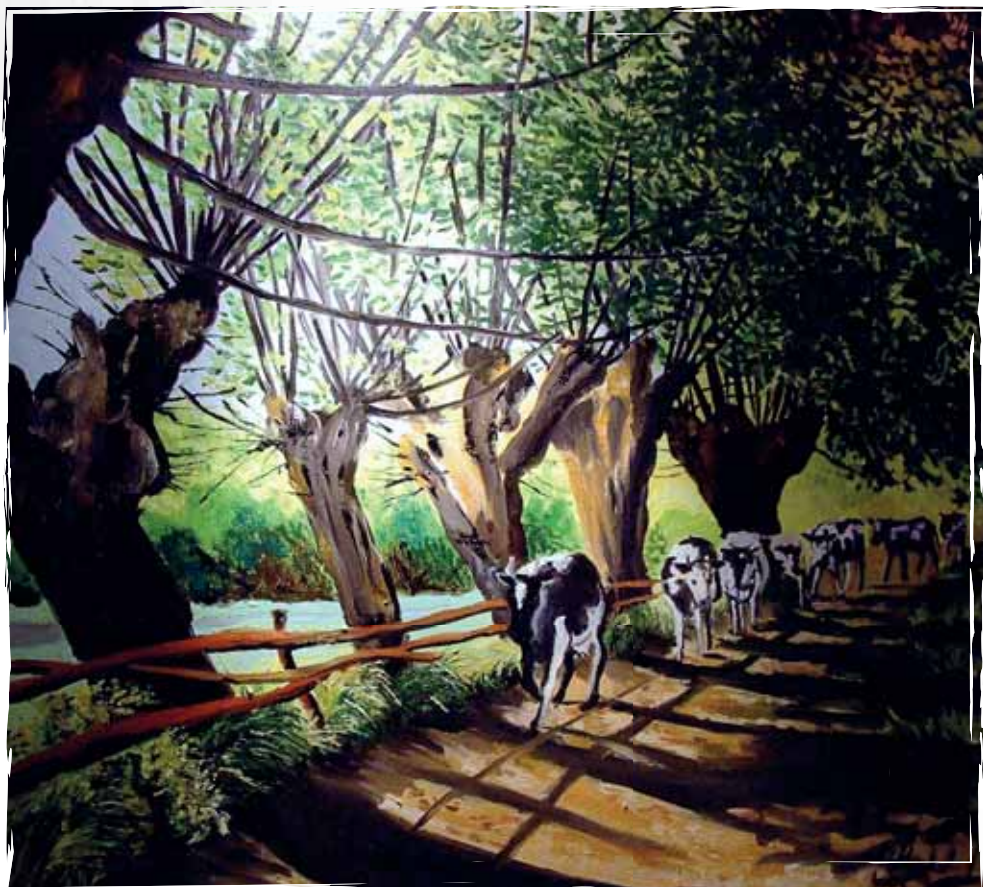




\*\*\*

*Jeszcze chłodny ranek  
Wczoraj śnieg poproszył  
Ale złoty motyl  
W podróż już wyruszył  
  
Pląsa przez błękity  
Przez zieleń pierwszą – nieśmiałą*

*Aż do miejsca przed lasem  
Gdzie od zawilców biało  
  
Gdzie kępy przyłasczek  
Jak twe oczy modre  
A więc wiosna przyszła  
I to już na dobre*



## KONCERT

*Idę drogą  
Letnia cisza  
Aż w uszach dzwoni*

*Na mojej sukience przysiadł  
Zdziwiony pasikonik  
Za przejażdżkę bez biletu  
Skrzypki nastroił w podzięce  
No i zagrał koncert  
Na zielonej sukience*









## WRÓCIŁEŚ

*Jak wiosna w tym roku – spóźniony  
Patrzysz na mnie nieśmiało  
A czyż te zawilce – to nie z nieba anioły  
Bo wszędzie zrobiło się białe*

*I jeszcze błękitnie od przyłaszczek  
A tam po rowach złoto kapie  
Kaczeńce przyglądają się w wodzie  
Nawet i Ty przyszedłeś z kaczeńcem w klapie*

## PRZED CHATĄ

*Czemuś smutna przed chatą  
Gdzie moc astrów przybyło  
Wiem – żegnasz lato  
Najpiękniejsze – bo było*

*Jeszcze wróbla ćwierkaniem  
Brzask cię budzi co ranka  
Niesie zapach wrzosowisk  
Nostalgicznym kochankom*

*Dzień wciąż krótszy  
Szybciej w sen zapada ziemia  
Nie wypatruj swych oczu  
Za czymś, czego już nie ma*









## SŁODKOŚCI LATA

*Cóż myślę o porach roku  
Gdy nie ma Ciebie...  
Że jesień jest na początku piękna  
A dalej to nie wiem  
Kiedy liżę z palca  
Słodkości lata  
A za oknem deszcz dzwoni  
Najpierw jak świerszcz  
A potem jak pasikonik  
Wiatr się złości  
Już liście rwie daleko porywa  
W oknie furkocze  
Jego wietrzna grzywa  
A ja dżemem jestem zainteresowana  
Nawet nie wiem  
Kiedy dotykam  
Dna słoika  
A kiedy wiatr liście  
Zaprasza do walca  
Przytyłam  
Bo ostatnie słodkości  
Zlizałam z palca*



## GOŁĄB

*Widziałam dzikiego gołębia  
Siedzącego spokojnie  
Na drutach cywilizacji  
Był jak podróżny  
Oczekujący na stacji  
I oto świst  
Korkociąg skrzydeł jastrzębiem  
Bagaż piór  
Powoli sypał się na ziemię  
Grzeszny świat  
Tylko oczy przymrużył  
Przez mikrofon usłyszałam  
Gołąb odjechał pospiesznym*

.....

*Jesień siedzi pochylona nad walizką  
Pakuje swoje marzenia  
Opadłe liście  
Strącone gwiazdy  
Przy których nikt nie wypowiedział życzenia  
Dwa nierozkwitnięte astry  
Bo przymrozek nie pozwolił  
Jedno złamane serce  
Wielkiego pająka  
Kluczem żurawim  
Walizkę zamknęła  
I już jej nie ma  
Z wiatrem pomknęła*









## KROPELKA

*Na nitce pajęczej  
Małej wody kropelka  
W słońcu tęcza się stała  
Jak diament błysnęła  
Gdy chciałam jej dotknąć  
Jak łza spłynęła*





## WRÓBELKI

*Szarzy przyjaciele  
Kuleczki bezbarwne  
Ćwierkający światu  
Radość i pogardę*

*Wielki rwetes czyniąc  
W swoim zgromadzeniu  
Kłótnie niekończące się  
O życiu – jedzeniu*

*O miejsce na gniazda  
Pod strzechą byle jaką  
Budowane w pośpiechu  
Z odpadów i kłaków*

*Lecz ileż radości  
Wszyscy tak uznali  
Sprawiają nam wszystkim  
Przyjaciele mali*



\*\*\*

*Zimowym smutkiem  
I z coraz większą  
Tęsknotą do lata  
Chucham w gąszcz  
Paproci na szybie  
Na słońcu sopel płacze  
Tykając miarowo jak zegar  
A słońce potoczyło się dalej  
Więc nadzieja na wiosnę  
Rośnie  
Mimo śniegów w ogrodzie*

## KWITNĄCY SAD

*W pachnącej bieli  
W śnieżnej kąpieli  
    Ukrył się sad  
I gdyby nie wiatr  
    Co by się stało  
    Bo w tym sadzie  
Nieba było tak mało*





## TROPAMI WILCZYCY

– Szybko wracaj! – Warszawa jest smutna bez ciebie – krzyczała koleżanka. To bratnia dusza – najlepsza jaką miała w tym wielkim mieście, w którym człowiek czuł się samotny, mimo, że wokół było mnóstwo ludzi. Ona czuła się nie tylko samotna, ale i okradziona przez los. Mężczyzna, z którym planowała wspólne życie, odszedł.

Autokar był prawie pusty, wybrała więc środkowe miejsce. W końcu autobusu spał młodzieniec, pewna starsza pani otulała się futrem, nie wiem – prawdziwym czy sztucznym, po drugiej stronie siedziało małżeństwo. Miała podróżować sześć godzin, z jedną przesiadką. Jeszcze pomachała Oldze, która dzielnie czekała, aż ruszy autobus. Na miasteczek zostawia wielkie miasto, czy będzie tęsknić? Pewnie za Olgą. Jest na urlopie. Dziś 14 lutego. Nie dostała ani jednego esemesa w Dzień Zakochanych. Tam, gdzie się wybiera, do swojej siostry, o każdej porze roku było pięknie. Siostra z mężem i córeczką mieszkały w fantastycznym miejscu. Przez okna i wielkie drzwi salonu, siedząc przy kominku, można było obserwować las i wielką łąkę, przychodziły tam różne zwierzęta: sarny, lisy i zajęce – to codzienność, ale można było też zobaczyć dziki, łosie i bardzo płochliwe jelenie. Siostra niedawno wspominała, że pokazała się para wilków. Z mężem prowadziła schronisko, taki mały szpital dla dzikich zwierząt. Niektóre były przywożone z daleka, niektóre trafiły ocalone z wnyków albo maleństwa potrzebujące opieki.

To będzie wspaniały miesiąc, będzie pomagać przy zwierzętach – ma tam przecież swego ulubieńca – samca sarny, który trafił tu jako tygodniowe maleństwo. To przecież ona wybrała mu imię – „Kuba” – śliczne, wilgotne oczy przysłonięte długimi rzęsami i wiecznie mokry nosek. Muszę zrobić parę dobrych zdjęć do gazety, a gdyby tak jeszcze stanąć oko w oko z wilczycą? Byłoby fantastycznie – pomyślała zamykając oczy. Usnęła tak szybko, jak dziecko znudzone zabawkami.

Dwudziestominutowy postój – zawołał kierowca, zatrzymując się na parkingu obok przydrożnego baru. Kiedy wysiadła, kierowca oglądał autokar z każdej strony. Starła się podpalić papierosa, ale zapalniczka odmówiła posłuszeństwa. Służę – usłyszała nad sobą, to był pasażer z ostatniego siedzenia, który do tej pory spał. Jaki on wysoki – pomyślała, zaciągając się dymem. Księżniczko – jestem Michał – wyciągnął rękę. Nie podała mu jej, tylko odpowiedziała – ach Pan Wołodyjowski – tylko urosłeś od tamtych czasów – zakpiła. Nie miała ochoty się przedstawiać. Mogę mówić – „Księżniczko” – ciągnął dalej. – Jadę do brata, zaprosił mnie. Nie pojechałbym, ale ma tam jeszcze przyjechać



jakaś dziewczyna z Warszawy, więc może być ciekawie. Brata nie widziałem cztery lata. I takiego spuść z oka – ożenił się i już ma dziecko – mówił jak nakręcony.

W autobusie każde usiadło na swoje miejsce. Wreszcie dojechali do miasteczka, w którym miała przesiadkę. Zrzuciła plecak, chwyciła torbę i pobiegła kupić bilet na następny autobus. Pani w kasie rozłożyła ręce – przed chwilą odjechał, następny będzie za dwie godziny, ale nie jestem pewna, czy pojedzie przez wieś, bo w nocy spadło sporo śniegu – dodała.

Cóż, nie będę na razie dzwonić do siostry, może wszystko się jakoś ułoży – pomyślała, sadowiąc się w poczekalni, a czas zleci jej szybko, bo uwielbia przyglądać się ludziom. A tu w poczekalni było na co popatrzeć. Ludzie biegali, rozpinali futra, zapinali, wracali po zapomniane torby. Jak w mrowisku ciągle coś się działo. Na peronie znów stał ten sam młodzieniec – Michał. Uśmiechnął się do niej podając lizaka w kształcie serca. To dla ciebie na Dzień Zakochanych. Już miała coś odpowiedzieć, ale zrobił taką minę unosząc ręce i twierdząc, że kocha wszystkich ludzi, że zrezygnowała wciskając lizaka do kieszeni kożucha.

Tak jak przewidziała pani w kasie, kierowca nie pojechał przez wieś, kazał odwiedzić rodzinę. To mój brat cioteczny, w dzieciństwie każde wakacje spędzaliśmy razem.

Księżyc oparł się na najwyższej sośnie i dokładnie oświetlał drogę, ale płatał też figle. Drzewa osypane śniegiem przybrały w jego świetle dziwne kształty, cienie zdawały się







poruszać. Na śniegu wokoło lśniły miliony rozsypanych diamentów, sceneria jak z filmu. Kiedy kierowca przyhamował, nagle na jej plecach zatrzymał się ten sam mężczyzna.

– Przepraszam – szepnął – nie utrzymałem równowagi. – Pan mnie chyba śledzi – wycedziła przez zęby, gdy stali już na środku ośnieżonego asfaltu. – Nawet nie śmiałybym księżniczko, ale skoro idziemy w tę samą stronę, może mi się w końcu przedstawisz? Nie zdążył dokończyć, kiedy jego towarzyszka zniknęła zanurzona w puchowym śniegu. Ha, ha zaśmiał się – to chyba za karę – i wyciągnął pomocną rękę. Stała na nogi, nadal trzymali się za ręce.

– Jestem księżniczka Anna i właśnie spadłam z konia. – No to ładna z nas para – rzekł. I już w lepszych nastrojach ruszyli do wsi. Też do Brzezin – zapytała przerywając ciszę. Tak – odparł – do brata, w końcu poznam bratową. Byłem cztery lata za granicą, to bardzo długi czas.

Wtem na drogę wkroczyły dwa cienie, przystanąły przyglądając się ludziom, którzy także się zatrzymali. Błysnęły dwie pary skośnych oczu. Boże – szepnęła Anna – przecież to wilki. Płaskie łby ze stojącymi uszami zdawały się nawet nie drgnąć. Nagle mniejsze zwierzę lekko machnęło opuszczonym, puszystym ogonem jakby na powitanie lub pożegnanie. Zostały tylko ślady.

Wilk to zwierzę owiane legendą – szepnęła. To gatunek, który budzi silne emocje od skrajnej nienawiści aż do fascynacji. Niedgdyś był niedoścignionym łowcą – wzorem do naśladowania. Dziś to wspaniałe i czczone niedgdyś zwierzę uznane zostało za szkodnika i symbol zła. A przecież wszyscy chcą żyć – dodała.

– Brawo, a już myślałam, że tak dużo mówisz ze strachu – podsumował wykład.

We wsi była dziwna cisza, żaden pies nie szczekał. Słyszałam, jeśli niedaleko przechodzą wilki, ich udomowieni bracia – psy – zachowują się cicho – dodała, zadowolona z siebie. Żałuję, że nie zrobiłam im zdjęć, mówiła skracając w aleję prowadzącą już tylko do domu siostry. Już teraz dam sobie radę – spojrzała zaczepnie na młodzieńca.

– Tu mieszka mój brat.

– Niemożliwe – krzyknęła – tu mieszka moja siostra. I znów wrogo nastawieni do siebie dotarli w końcu do domu. Wbiegła szybko na werandę, przyciskając dzwonek. Towarzysz wędrowni, tuż za nią.

Drzwi otworzył szwagier.

– Anna – myśleliśmy, że już dziś nie przyjedziesz – widzę, że poznałaś Michała! Anna spojrzała na Michała – spisek – wyszeptła i dodała – a ja, to ta dziewczyna z Warszawy.

## „ĆWIRAS”

*Dwa bociany na gnieździe  
Podtrzymują niebo głowami  
Wiatr szalenie  
Usnął pod ich skrzydłami  
A tam wysoko,  
Mój wróbel lata  
Choć tak wysoko  
Nie doczekał się lata*

Wychowałam wiele ptaków i zawsze zwracałam im wolność. Wrócili do swojego środowiska. Ale z „Ćwirasem” było zupełnie inaczej. Znalazłam go na strychu, między słoikami. Był bardzo wygłodzony. Przyniosłam go do kuchni, pochyliłam się nad nim i nagle uczeplił się mego nosa. Jadł co zauważył. Jednak na drugi dzień wróbel zachorował. Myślałam, że po prostu zdechnie, ale przeżył.

Życie ciągle sprawiało mu niespodzianki – teraz ja znalazłam się w szpitalu z powodu palca. Nieszczęsny wróbelek został pod opieką reszty domowników. Szybko wydostał się ze swego koszyczka i zaczął fruwać. Pojawiło się jeszcze jedno zmartwienie – był łysy. Wszędzie ładne piórka, a łepok goły jak kolano. Wyglądał jak dinozaur – „Olinus”. Zaczęłam nawet myśleć, by mu czegoś nie przykleić, bo naprawdę był nieładny. Ale przyszedł czas i z brzydkiego kaczątka mój wróbelek zmienił się w pięknego ptaka. Był wszędzie – w kuchni, w pokoju i zaglądał w każdy kąt. Jego ciekawość doprowadziła do małej tragedii. Pewnego dnia przekładałam ciasto śmietaną, a „Ćwiras” zerkał na moją pracę, to z czubka mojej głowy, to z ramienia, to z ręki, którą nakładałam śmietaną na placki i stało się. Wpadł w sam środek bitej śmietany. Szybko go oplukałam pod kranem, nie pomogło gdyż po pewnym czasie skruszyły mu się piórka. Co ranka, zamiast sfruwać z kwiatka pnącego się po mojej kuchni, spadał jak szary kartofel. Zaczęłam się obawiać o jego życie. Najśmieszniej wyglądał jednak, gdy wybierał się do spania. Podskakiwał, spoglądając na kwiatek rozpięty pod sufitem, braliśmy go wówczas na rękę lub na ramię i z tego miejsca wróbel już mógł bezpiecznie udać się do spania. Długo trwało, zanim wróbelek zaczął latać i dlatego został z nami na zimę.



A dziś ciągle płaczę. Obiecałam sobie, że już nie będę, ale łzy same cisną się do oczu. Niektórzy mówią – to dobrze, jeżeli człowiek wypłacze swój żal. Mój ma dwa skrzydełka i malutkie serduszko, które kochało bardziej niż normalne serce. To nie był pospolity ptak – WRÓBELEK, był ludzki, mieszkał z nami rok. Nigdy w domu nie byłam sama. Wszyscy wyjeżdżali do pracy, do szkoły, a ja miałam z kim rozmawiać. Był ON – mój „Ćwiras”. Miał taką cudowną moc. Patrzyłam jak czyścił swoje szare piórka, jak podkładał jedzenie, jak tulił się w dłoni. Przez chwilę zapomniałam o zmartwieniach.

Dzisiaj codziennie dzwonią telefony, a ja za każdym razem płaczę do słuchawki. Straciłam swego przyjaciela. Nie powiem, co mu się przydarzyło, bo to zupełnie nowa opowieść – może kiedyś o tym napiszę. Moja mądra siostra, która już jest na innym kontynencie, napisała mi: „Łzy to oznaka ludzkości a nie słabość człowieka – więc płacz”. Ta mała szara kuleczka kochała nas i traktowała jak swoją ptasią rodzinę. Czuję, że wszystko rozumiał, co do niego mówiłam.

Był wiernym słuchaczem moich wierszy. To on pomagał mi malować obrazy. Nie wspomnę, ile zjadł mi farb. Oczywiście tych, które najbardziej mu się podobały, były to agresywne kolory, soczysta zieleń, jaskrawa czerwień. I dzięki temu, że plątał mi się po farbach, wyciągał pędzelki – ciągle był kolorowy jak papuzka. Zawsze narobił śladów, tam gdzie sobie nie życzyłam. Teraz, jest tylko w moim sercu, mój pospolity wróbelek, który był dla mnie najpiękniejszym ptakiem. W przyrodzie wszystko ma swój początek i koniec.

Pochowałam go o świcie tam, gdzie słońce na moim podwórku najszybciej zagląda, gdzie następnej wiosny zakwitną forsycje w kolorze złota. Miał najpiękniejsze pudełeczko, jakie znalazłam w domu. Wszyscy jeszcze spali, a ja kopałam dołek dla mojego przyjaciela.

Od tamtej pory pomagam wielu ptakom. To wymaga ogromnych wyrzeczeń, poświęceń, miłości. Ale mój dom nie jest już taki, jak za czasów „Ćwirasa” – nie ma komu śmiecić, nikt nie roznosi farb na pazurkach i nikt nie robi kupek tam, gdzie popadnie.

Na strychu pod deską wykluły się maleńkie wróbelki, z jednego gniazda już wyleciały młode – nowe pokolenie. Mam nadzieję, że w tym roku los podrzuci mi coś do wychowania. Chociaż wróble mają od dwóch do czterech lęgów, większości nie uda się doczekać następnego roku. Wróbel nie jest dobrym lotniarzem, więc staje się dobrym łupem kotów i ptaków drapieżnych. Długi lot męczy wróbla – to typowy domownik.

Na bocianim gnieździe przyszły na świat bocianięta. Życie toczy się dalej, tu coś piszczy, tam kwili. Świat nie stanął w miejscu nawet na chwilę – ciągle gdzieś gna. Bez pogubił swoje białe – fioletowe krzyżyki, a jaśmin zakwita. Słońce zatacza coraz dłuższe kręgi. Niedługo nastanie najkrótsza noc i nawet się nie obejrzymy, kiedy znów nadciągną chłody. Już dziś chcę was prosić o garstkę ziaren w ciężkiej zimie dla tych, którzy mieszkają z nami przez cały rok. To tak niedużo za radość ćwierkania, którą niosą nam każdego dnia.



*Zielony świat  
Czerwiec oszalał po trosze  
Ciągle coś pachnie  
Coś kwitnie i rośnie  
Świt mnie budzi  
Radosnym śpiewem  
Tylko ja tęsknię  
A za czym?  
Wciąż nie wiem.*

## W OBLICZU JESIENI

Jesteśmy bezradni w obliczu tego co nieuniknione. Nie możemy zatrzymać chwil, godzin, dni czy też pór roku. Jesienią odlatują ptaki i spadają liście. Jesień jest smutna. Ale chyba najsmutniejsze są odloty ptaków. Czynią to kolejno, jakby czekały na swój lot samolotem. Z tych największych – pierwsze znikają bociany, po prostu znikają i już.

Pewnego dnia odkrywamy puste, bezkresne łąki, ciągle jeszcze zielone i soczyste. Nie brodzą po nich czerwono nogie dostojne ptaki. Wielkie, puste gniazda na słupach wolno zarastają mchem, sprawiając wrażenie nigdy nie zamieszkałych. Jaskółki – wesołe świergotki odlatują tak jakby wpadły do wody.

Ale najbardziej czule żegnają się żurawie. Zlatują się w wielkie stada, długo krążąc nad zaoranymi polami, wydając przy tym żalosne, skrzypiące okrzyki.

Opadają też liście, choć najpierw jesień maluje na złoto, czerwono, bordowo aż do brązów w różnych odcieniach. W słoneczne dni naprawdę jest przepięknie. Drzewa czasem wyglądają jak pochodnie na tle ciemnego, deszczowego nieba.

Dzisiaj patrzę w okno i widzę jak liście wybierają się w swoją pierwszą podróż na ziemię. Wiatr leciutko kołysze wierzchołkami drzew, a one jak falbanki unoszą się i i opadają wraz z gałęziami. Nagle jeden oderwał się. Wiruje w powietrzu, jakby miał skrzydła, jakby sam sobie wybierał drogę. Zamiast opaść nieopodal drzewa, poderwany wiatrem, poszybował dalej. Dużo dalej, niż mi się wydawało. Kolejny ruszył w jego ślady, ale upadł tuż pod drzewem. Nie udało mu się daleka wymarzona podróż. Może będzie miał szczęście i wiatr pochwyci go jeszcze do tańca z jesienią.

Nie musiał długo czekać, bo nagle nie wiadomo skąd, zjawił się psotnik wiatr i już gnał przed sobą liście leżące na ziemi. Z drzewa, zamiast jednego, zwał całe stado. Wyglądały jak wróble uciekające przed niebezpieczeństwem. „Wiatr stado wróbli zmiata z dachu” – szepnęłam.

Kto kocha te długie jesienne wieczory, jeszcze nie najzimniejsze, z otwartymi oknami, przez które wlatują coraz to większe ćmy. Może to ludzkie dusze, które wróciły na ziemię, bo mają tu jeszcze coś do załatwienia. A może to tylko po prostu owady, które lecą w kierunku światła. One tak jak ja, nie lubią długich wieczorów i ciemnych pochmurnych nocy. Choć czasem lubię zasypiać przy muzyce kąpiącego deszczu.

Sen jest też pewnego rodzaju odlotem, więc dzisiaj nie będę o tym myśleć – zostawię to na jutro. Dobranoc wszystkim opadłym liściom, ptakom i ćmom, które jak duszki pukają w szybę, bo właśnie zamknęłam okno. Ciemna jesień milczy, więc milczę i ja. A jutro „listopad się pokłoni, zastuka wiatr do drzwi”.

Stoję po środku wielkiej Świątyni. Cisza. Kolumny drzew jak solidne filary, podtrzymują nad moją głową kopułę błękitnego nieba. Spokój. Wciągam głęboko powietrze i zamykam oczy. Już nie myślę i nie pamiętam, że wczoraj było źle, że wydałam zbyt dużo pieniędzy, że dziś nie udało mi się ciasto i że wszyscy wokół byli złośliwi.

Spokój i cisza leczą moją duszę i ciało. Stoję z zamkniętymi oczami, a może idę wolno przed siebie, stąpając delikatnie, omijam gałązki. Pęknięcie suchego kawałka drewna może wszystko zburzyć – wkradnie się obcy dźwięk – trzask gałązki.

Dawno umilkły radosne trele. Większość ptaków odleciała, ale jeszcze wczoraj wysoko nad lasem widziałam stado jaskółek. Szybowały w błękitnie, beztrosko, ćwirgając i tnąc skrzydłami niebo na mniejsze kawałki jak sprawny krawiec. Dziś już nie słysząc ich radosnych treli. W lesie pracuje tylko niez mordowany dzięcioł – lekarz. Właśnie dokładnie bada starą sosnę. W ciemnych gałęziach świerku uwijają się wciąż małe sikorki czubatki. Nie widać ich, gdyż poruszają się bardzo szybko i zwinnie, ale ich radosne – pi, pi rozlega się prawie z każdej strony.

W dole, gdzie rosną tylko brzozy i wielkie parasole paproci, jesień zrobiła ogromne postępy. Paprocie żółkły – potem zaczęły rdzewieć i brązowieć. Ich liście zaczynają się skręcać i zwijać. Brzozy wystrojone w złoto, a dookoła leży mnóstwo liści. Niektóre udekorowały małe świerki, te bożonarodzeniowe i świerki jesienne, przybrane tylko listkami z drzew sąsiadujących wokół.

Las pachnie. Latem wśród bujnej zieleni i upału lejącego się z nieba, nie czuć tak silnego zapachu jak teraz. Jeszcze raz wciągam głęboko powietrze – las pachnie jesienią i grzybami. Wystarczy się rozejrzeć dookoła a zauważymy brązową czapczkę podgrzybka. Podgrzybki są towarzyskie, lubią rosnąć gromadkami. Stąpam bezszelestnie, delikatnie. Mój koszyczek napęlnia się brunatnymi kapelusikami. Na polanie, tuż przy leśnej drodze, gdzie słońce tkąło cudowne jesienne wzory pojawił się wrzos. Dumny i dostoyny jak biskup w swej fioletowo-różowej szacie, przyciągnął mnóstwo drobnych owadów, pięknych, większych i mniejszych jak listki – motyli. I tak przybrany wygląda jak motyle drzewko. Zasześciło nagle pod moimi nogami. Wystraszona jaszczurka umyka zwinnie na kawałek suchego drewna. Będzie się dalej wygrzewać w ostatnich ciepłych promieniach jesienno-słonecznego słońca. Zawracam z tej słonecznej polany w las. Nagle wpadam jak mucha w pajęczę sieci – prawie niewidoczne w słońcu. Lepią się do twarzy, czuję je na rękach i szyi.

Nadal cicho i spokojnie, drgnęłam – osika zasześciła złowrogo paroma liśćmi. To jedyne drzewo, które drży nawet wtedy, kiedy jest zupełnie bezwietrznie. Sójka za-





kwiliła ostrzegawczo i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki umilkły małe sikoreczki, a dzięcioł przestał opukiwać następne drzewo. Wszyscy mieli się na baczności, bo sójka, chociaż troszkę szkodnik – jednak w lesie zachowuje się jak pies, ostrzegając innych mieszkańców. Właśnie rzuciła hasło – cisza – intruz w lesie. Nawet zając, który smacznie spał pośród uschłych paproci, dał drapak, po drzewie śmignął puchaty ogonek wiewiórki. Ruda kitka też wołała się trzymać z daleka.

Czas wracać do domu. Wychodzę na asfaltową drogę, którą pędzą ludzie i samochody „A dokąd?”. „Nie pytaj, ja nie wiem, czy to, co widziałam, słyszałam i do jakich drzew się przytulałam – to prawda. Chyba tak, bo jakoś dziwnie mi lekko, a koszyk dość ciężki”.

Za drogą oglądam się jeszcze w stronę lasu i cicho dziękuję za te cudowne chwile, za spokój, który teraz mnie przepęlnia. Dziękuję Ci lesie w tej jesiennej szacie, gdyż niedługo złote liście zmieniają się w brąz, a czerwień wypali się do końca. Nastaną szare dni.



Stoisz w oknie – nie takim zwyczajnym, to magiczne okno a raczej zaczarowane. Patrzysz na ten cud za oknem, na tą zieleń soczyście kapiącą z drzew, na te trawy wysokie i aż czerwone od kwitnącego szczawiu. Zrobiło się tak gęsto, tak pełno i wysoko, że po prostu masz wrażenie dziś, wczoraj nawet i jutro, że do nieba jest o wiele, wiele bliżej niż przed paroma tygodniami. Po niebie płyną chmury, cała ciemna chusta, płyną same jak żaglówka niesiona prądem, bo wiatr śpi, śpi spokojnym snem czerwcowego wieczoru. Krzewy w ogrodzie nawet nie drgną, ciche, spokojne i tajemnicze otaczającym je zmierzchem. Przez chwilę wyglądają jakby przykrywał je tiul zwiewny i delikatny.

Na bocianim gnieździe – prawie na wyciągnięcie ręki z okna – młode unoszą swe głowy. Wydają tajemnicze dźwięki, których nie rozumiesz – a chciałabyś poznać największą ich tajemnicę. Przecież ty znasz wiele tajemnic, odkryłaś to co dla innych jest tabu i nieosiągalne. Jeszcze się dziwisz, że nie masz wielkiej kurzajki na nosie a twoja miotła dalej nie umie latać, tylko czasem runie z łoskotem na ziemię, gdy nie tak oprzesz się o ścianę. To czemu nie możesz zasnąć, gdy księżyc jest w pełni i toczy się srebrnym kołem po niebie. Czemu? – czyżbyś miała chęć odpalić tę miotłę i polecieć ot tak, jak do supermarketu na Łysą Górę.

Nagły podmuch wpada przez okno otwarte na oścież. Słyszysz, jak szumią osiki i olszyny, jak delikatnie szemra brzoza – jakby woda wypełniała powoli zbiornik. Młode bocianięta gulgoczą i świszczą konsumując późną wieczерę. Widzisz je przez okno co dnia. Trzy – trójca – tak jak listki koniczyny. Prawdopodobnie szczęśliwy ten, kto znajdzie czterolistną. Śmiejesz się sama do siebie. Przecież znalazłaś nawet dwie. Jedną zaszylaś, a drugą po prostu zjadłaś – by mieć tę pewność, że szczęście nigdy cię nie opuści. To racja, w swym życiu miałaś dużo szczęścia – może nie dotyczyło ciebie osobiście, ale twoich bliskich. Zamykasz oczy i przez chwilę wsłuchujesz się w szum wiatru. To chyba pierwszy cieplejszy oddech tej wiosny. Wiatr gra, zawsze gra, tylko trzeba umieć go słuchać. Trzeba pozwolić mu zmierzwić włosy, dać wyrwać kartkę, trzepotać lekką spódniczką – a potem biec z nim i biec. Zagalopowałaś się jak mustangi po szerokim stepie, więc pukasz się w czoło, przywołując samą siebie do porządku. Ty marzycielko – szepczesz, stąpaj twardo po ziemi, nie czepiaj się obłoków. Nie myśl, że świat zmienisz na lepsze – a może już zmieniłaś?



Wycofujesz się z okna i zamykasz – zrobiło się chłodno, a ty w kusej jagodowej sukience dostałaś gęziej skórki. Jakoś nie masz ochoty spojrzeć na kuchnię i w tej chwili cichą i tak pustą kuchnię, gdzie przez cztery tygodnie panowały inne reguły.

A wszystko zaczęło się jednego najnormalniejszego popołudnia. Gdyby nie twoi przyjaciele wróble, które doskonale rozumiesz, nigdy byś się o nim nie dowiedziała. Szare kuleczki świergoliły, że coś nie jest tak, że jakiś obcy albo ktoś z innej planety. Krzątając się rzuciłaś wszystko, by wyrzucić co się dzieje na schodach. Od razu go zobaczyłaś. Stał przed pierwszym stopniem usiłując bezskutecznie nań wskoczyć. Szybko zbiegłaś i chwyciłaś go w ręce. Cicho – cicho, może uda mi się ciebie włożyć do gniazdka – rzekłaś i zadarłaś głowę, bo tuż nad schodami szpaki miały gniazdo. Od razu pobiegłaś na strych, ale gniazdo było nieosiągalne. Trudno – rzekłaś do wystraszzonego szpaka w twoich rękach. Szpak dostał mieszkanie po chomiku.

Był niezwykle wychudzonym pisklęciem, miał już wszędzie piórka nie za duże a na głowie sterczał puch. Przez co wydawał się, jakby ktoś uczesał go na irokeza. Szybko nauczył się otwierać dziób, gdy co pół godziny a nawet częściej podawałaś mu jedzenie. Myślałaś, że nigdy nie da się go oswoić, bo przecież jak na pisklę był już dość wyrośnięty.

Szpak otrzymał imię – „Czyczako” – co oznacza żółtodziób – tylko w jakim języku, tego nie byłaś pewna.

I tak minął tydzień biegania, karmienia, wstawania bardzo wcześnie – razem z ptakami. Z jedzeniem miałaś prawdziwe problemy – bo podstawą wyżywienia w jego menu, były dżdżownice – tylko skąd je wziąć? Przekopałaś całe pole za domem, aż dostałaś zadyszki i silnego bólu w plecach, więc wdzięczna byłaś, tak bardzo się ucieszyłaś, gdy zadzwoniła siostra. – Przyjeżdżaj mam cały stoik dżdżownic. Jeszcze nie raz jeździłaś do niej i obie kopałyście, aż kropelki potu występowały na czołach. Dzięki „Mania”, machałaś ręką z samochodu i pędziłaś do domu – bo twoje „dziecko” nie miało do niego zaufania. Po tygodniu do szpaka dołączył mały wróbelek – wypadł w czasie ulewy z bocianiego gniazda. Tak więc w swojej historii podchowывania nieszczęśników, nie miałaś takiej, by jednocześnie wychowywać dwa ptaki. To podwójna praca, nakarmić wróbla, za chwilę szpaka i tak od świtu do wieczora, cały dzień. Twoje życie zmieniło się bardzo, czasem miałaś wszystkiego dość – czułaś się po prostu zmęczona i serdecznie współczułaś wszystkim ptakom wychowującym swe pisklęta. Szpak opuścił mieszkanie chomika, spał teraz na ogromnej choi oplatającej kuchnię. No i poznał ciebie, cały czas z tobą gaworzył i pokochał – tego jesteś pewna. Bo nikt nie cieszył się z twego powrotu do domu jak twój „Czyczako”. Ładował na środku głowy i wrzeszczał szczęśliwy, że jesteś. Sprawdzał twoje uszy, zęby i wsadzał dziób między palce, rozchyłając jakby szukał jedzenia na polu. Zrobił się takim mami synkiem – bez ciebie ani rusz. Gdy chciał się kąpać przylatywał do zlewu, a ty stawiałaś mu najlepszą salaterkę i nalewałaś wody. Na początek szpak uwielbiał, gdy był delikatnie polewany wodą a potem pakował się do naczyń i zażywał kąpieli. Potrafił to robić parę razy dziennie. Bywały zabawne sytuacje,



gdy karmiłaś wróbla a na twojej ręce lądował szpak, za wszelką cenę chcąc sprawdzić, co masz w dłoni. A gdy palcem chroniłaś główkę wróbla, szpak musiał go choć potargać za wystający ogonek. Wróbelek się usamodzielniał, dalej był dziki i zamieszkał na kuchennym kredensie, gdzie podrzucałaś mu świeżo gotowaną kartofelkę, ryż, kruszyłaś ciasteczka i rzucałaś świeże muszki. Między ptakami dochodziło czasem do kłótni, gdy wieczorem szukały sobie miejsca na nocleg. Pierwszy układał się wróbel, potem dołączał szpak i zajmował miejsce tuż obok. Szpak od czasu do czasu wyskakiwał zdziwiony, że maleńki wróbelek, też umie użyć swego dzióbka. A ty biegałaś ze szmatką po kuchni kilkanaście razy dziennie, sprząając to, co narobił wróbelek albo szpak. Pewnego dnia zaniepokojona zauważyłaś, że Czyczako pokaszluje. Niby z jedzenia nic mu nie brakowało, a jednak to dziki ptak. Czowałaś instynktownie, że musisz coś zrobić. I wtedy pierwszy raz zabrałaś go na podwórko. Obserwowałaś, jak spaceruje obok ciebie, wsadza dziób w ziemię a każde zamieszanie wywoływało u niego strach, więc lądował w bezpiecznym dla niego miejscu, na twojej głowie. Zaczęłaś mu podawać zieleninę: młody mlecz, komosę, pokrzywę. Nie wiadomo dlaczego, ale szpak przestał kaszleć.

Nauka najczęściej przychodzi chyba ludziom, ale twoje ptaki chwytaly wszystko w lot. Już nie trzeba było wychodzić z Czyczako na podwórko – wylatywał i wracał tym zaczarowanym oknem. Gdy nie było go dłużej, wychylałaś się – wołając go po imieniu i wyciągałaś rękę. Jeśli był w pobliżu, natychmiast zjawiał się lądując na ręce wrzeszcząc radośnie i dopominając się jedzenia. Teraz już tylko nocował w domu a od rana bez względu na pogodę buszował na podwórku. Obserwowałaś go, jak odlatuje na łąkę ze szpakami jeszcze karmiącymi dzieci. Próbowalaś też zajrzeć do młodych, widocznie rozumiał ich – kwiliły przecież w jego języku, lecz dorosłe krzyczały na niego, jak na intruza i się wycofywał.

Dobrze sobie radził szukając jedzenia za domem, czasem nawet nie chciał gotowych dżdżownic. Nie gardził też gotowanym ziemniakiem, jabłkiem i dojrzewającymi truskawkami. Wieczorem najchętniej jednak kładł by się razem z tobą do łóżka – ach te dzieci – szeptałaś i zwiewałaś za drzwi. Rano szukał cię po mieszkaniu i budził szumem skrzydełek. Czasem niechętnie wstawiałaś, otwierałaś mu okno, a gdy wylatywał, krzyczałaś jak za dziećmi wychodzącymi do szkoły – uważaj na siebie Czyczako!

Nastał dzień, kiedy ostatnie szpaki opuściły gniazdo, a twój podopieczny dołączył do nich. Nawet nie powiedział – dziękuję – odleciał. Po sobie zostawił tylko pustkę i smutek. W domu zrobiło się cicho i czysto, bo wróbelek zachowywał się porządnie i spokojnie. Co do Ćwirka, to mieszkał jeszcze długo po odlocie szpaka i choć otwierałaś mu okno nie wyfrunął do ranka, w którym ćwierknął tak inaczej. A ty zrozumiałaś. Jesteś gotowy i otworzyłaś znów zaczarowane okno, a on nie namyślając się wyfrunął i tyle go widziałaś.

Często stajesz w tym oknie i słuchasz, o czym ćwierkają wróble. Bociany na gnieździe bardzo urosły. A wczoraj, widziałaś całe stado szpaków albo chmurę. Uniosłaś głowę



słyszac ten szum skrzydeł. Moze lecialy na wisnie, a moze na lake wrzeszczac radośnie wzbijajac się i opadajac. Moze w tym stadzie jest Czyczako. Moze na drugi rok przyleci na twoje podwórko, ale nie bedzie pamietal juz ciebie, zostawiajac po sobie niezapomniane przeżycia.

Dzis swieci księżyc, tak dawno nie bylo go widać przez ciagle zachmurzone niebo. Skladasz dlonie w ksztalcie lotosu i trzymasz go przez chwile w dloniach. Księżyc jest okragly jak wyrośnięty bochenek chleba.

Na swym ramieniu czujesz delikatne puknięcie... Wreszcie twoja miotla zrozumiala o co ci chodzi i juz szybujecie wysoko, wysoko. Wiatr rozwiewa ci wlosy, a ty czujesz radość i śpiewasz za artystką „Ptaki moje ptaki”.

*Ptaki moje ptaki  
Dzieci jednej wiosny  
Ileż to radości  
Do domu mi wniosły*

*Ptaki moje ptaki  
Czy to źle wam u mnie było  
Czemu oknem leciecie  
Świat niebezpieczny taki*

*Ptaki moje ptaki  
Szum skrzydeł w przestworzach  
Otwieram okno  
Powrócić do mnie można.*





## MAGIA WIGILII

W całym domu pachniało choinką, wczoraj ubierałam ją wieczorem. Ten piękny zwyczaj spadł na nią, odkąd dzieci wyprowadziły się z domu. Hm – dzieci są jak ptaki, dorastają i wyfruwają spod rodzinnej strzechy na swoje i nikt na to nic nie poradzi. Właściwie to już od dwóch godzin była gotowa do wigilijnej kolacji – najpiękniejszych i najbardziej magicznych świąt. Miała już czterdzieści dziewięć lat, ale dalej wierzyła, że w ten dzień zdarzają się cuda. Rozejrzała się po przestronnej kuchni i poprawiła świąteczny stroik na stole już nakrytym białym obrusem. Cieszyła się jak dziecko na przyjazd córki z mężem. Przyjadą późno, ale najważniejsze że nie będzie musiała dzielić się opłatkiem tylko z mężem. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić tego wieczoru poza domem. Lubiła kiedy wcześniej przyjeżdżały jej siostry z rodzinami, a teraz już dzieci.

Z radia słyhać było nutki kolęd, na choince migały świeczki, a za oknem tańczyły na słonince sikorki i białe płatki śniegu. Spadały z nieba jak pióra aniołów, tak wolno, wolniutko, jakby ktoś odtwarzał film w zwolnionym tempie. Taki dorodny płatek długo kołysał się w ramie okna, a potem opadał coraz niżej i niżej. Na podwórku było już zupełnie biało, a smutne nagie drzewa okrywała powoli puchowa pierzyna.

Nagle przypominały się jej święta w rodzinnym domu. Ile to już lat. Czterdzieści dziewięć odjął siedem – bo wtedy miała tylko siedem lat – aż tyle... Szła wtedy ze swoją matką i młodszym bratem do lasu po świąteczne drzewko. Śniegu było po kolana. Mama pierwsza w gumo-filcach ojca torowała drogę, za matką ona starała się trafić w jej ślady, a na końcu śmiesznego ogonka włókł się brat. Śnieg ciągle sypał i wiał nieprzyjemny wiatr, ale żadne z trzech osób nie wyobrażało sobie świąt Bożego Narodzenia bez choinki, więc nikt nie skarżył się, a do lasu było niedaleko, tylko że drogę utrudniały zasy. W lesie było zupełnie jak w starej chałupie, większość płatków śniegu zawisło na ogromnych drzewach, więc szło się zupełnie lżej i nie dokuczał lodowaty wiatr. Gdyby tylko znalezienie najpiękniejszego drzewka było takie łatwe, ale to chyba najtrudniejsze zadanie. Drzewko musiało być mocne, by gałązki nie wyginały się pod ciężarem bombek, musiało też mieć gałązki ułożone dookoła jak spódniczka baletnicy. A każdy wie, że choinki przysypane śniegiem wszystkie wyglądają cudnie, więc otrząsali śnieg z drzewek odpowiadających wysokości, aż w końcu trafili na polanę, na której jak królewna stała tylko jedna choinka.

W następne święta – może miała wtedy dziewięć lat. Matka krzątała się po domu i po podwórku, a ona z tymi dziewięcioma latami czuła się prawie dorosła – w dodatku

mama kazała jej stroić choinkę – przyniosła właśnie kartony z bombkami. Delikatnie otwierała tekturowe pudełka i wyciągała kolorowe bombki, wieszając je najpierw na najwyższych gałązkach. Wzięła cały karton w ręce i weszła na krzesło. Pech chciał, że pudełko miało otwierany spód. I stało się. Do tej pory jest jej żal tych pięknych bombek. Wszystkie dwanaście wypadły na podłogę. Zostało po nich wiele świecących skorupki. A ona płakała długo i soczyście, ciągnąc nosem. Nawet mama, która na początku była niepocieszona, zaczęła ją usprawiedliwiać.

Minęło może jedenaście lat – była wtedy szaleńczo zakochana. Planowali ślub. Gdyby nie Tomek, który został jej mężem, nie wiadomo jakby potoczyło się jej życie.

I znów kilka lat – 24 grudnia, a ona na porodówce – to tak, jakby ktoś zabrał jej najpiękniejsze święta – ale była szczęśliwa. I ciągle magia tych świąt przewija się przez jej życie, czasem dobra, a czasem gorsza.

Spojrzała na zegarek. Mąż na wigilijnym polowaniu, pewnie wróci za godzinę, a ona zdąży jeszcze się przejść. Te spacerki po mieszanym lesie, gdzie świerki opierały się o stare sosny, a w dole rosły brzozy i olszyny były jak balsam. Szybko narzuciła kożuszek i wcisnęła na głowę czapkę z jenota. Nienawidziła czapek. Jej włosy zmieszały się z długim włosiem czapki, tworząc jakby jedną całość. Szybko zbiegła schodami przykrytymi cienką powłoką śniegu, dołączyła do niej mała suczka Sunia. Uwielbiały razem chodzić po lesie. Wbiegła na drogę, przywołując psa, bo właśnie zbliżał się samochód. Myślała, że obie zdążą przemknąć na drugą stronę, ale pośliznęła się i upadła na kolana. Czapka jak krążek potoczyła się na drugą stronę drogi. Samochód zahamował. Wyskoczył młody człowiek – nic się pani nie stało – krzyczał, wyciągając rękę. Nie – odrzekła z powagą, otrzepując śnieg i wybuchła śmiechem. Sunia zatańczyła na swoich krótkich łapach, piszcząc radośnie. – Przepraszam panią, ale to dobrze, że się spotkaliśmy, bo właśnie pani szukałem, a sąsiad – tamten – wskazał ręką – powiedział, że to tu. Mnie? Uśmiech zniknął z jej twarzy – nie rozumiem – dodała. To znaczy nie ja, ale mój ojciec – szybko wyjaśnił chłopak – wyciągając z samochodu grubą kopertę. Opowiedział mi i prosi panią o wybaczenie. Przecież dziś mamy wigilię, a mój ojciec jest chory. I patrząc w jej oczy dodał – to przeze mnie się rozstaliście. Służbowe dziecko – przemknęło jej. Spojrzała na młodego, przystojnego mężczyznę, że też nie zorientowała się wcześniej – wykapany ojciec. Mój ojciec chce wiedzieć, czy mu pani wybaczy. Wybaczy – powtórzyła jak echo. Ja mu wybaczyłam już dawno – to właściwie niepotrzebne, potrząsnęła kopertą. – Będzie szczęśliwy. Chłopak wszedł do samochodu. Ach – zatrzymała go jeszcze – przekaz mu swoje świąteczne życzenia i powiedz, niech wierzy – bo wiara i te święta czynią cuda.

Szła przez las, obracając kopertę. Co może tam być. Otworzyć – czy nie. Ale ciekawość była silniejsza, szybko rozerwała papier, a na śnieg wypadł srebrny wisior w kształcie anioła, w środku był jeszcze list.



*Z Tobą odeszły moje anioły  
Co nocą w snach się pojawiły  
Z Tobą odeszły kwiaty jesieni  
Co wiosną i latem pachniały*

*Więc teraz szarość mam  
Moich dni i obłoków  
Będą wspominać Ciebie, anioły  
Lecz zawsze ze łzą w oku.*





*Bożena Klimaszewska urodziła się i wychowała w malowniczej miejscowości Motułka. Obecnie mieszka we wsi Obuchowizna w gminie Augustów. Jest to piękny zakątek kraju, w samym sercu Puszczy Augustowskiej. Z wykształcenia technik ochrony roślin, a z zamiłowania artystka – malarka i poetka. Swoje przeżycia, radości i smutki opisuje w wierszach oraz krótkich opowiadaniach, zaś tematy na przedstawionych obrazach są doznaniem wynikającymi ze ścisłej więzi z przyrodą. Pani Bożena buduje swój świat poetycki żyjąc chwilą i można z jej wierszy dowiedzieć się dużo o niej – jej krajobrazach, nie tylko wewnętrznych. Píše z sensem poetyckim. Ma pomysły. Jej prace malarskie są prezentowane na wielu wystawach i cieszą się dużym zainteresowaniem. Niech te wiersze i opowiadania spotkają się z życzliwym przyjęciem przez czytelników. To prawdziwa uczta literacka, prosta i trafna. Spieszmy się doceniać ludzi, a szczególnie tych z małych gminnych miejscowości, którym kwiaty rosną u ramion, a wiersze syją się jak ziarna dorodnych kłosów zbóż.*

*Laureatka wielu konkursów literackich. W 2014 roku zajęła II miejsce w poezji konkursu „Las moja miłość” w Białowieży. Píše do czasopiisma „Nasz Sztabiński Dom”.*



Operację zrealizowano w ramach projektu realizowanego przez Bibliotekę Publiczną Gminy Augustów w Żarnowie, w ramach działania 413 "Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju" objętych PROW 2007-2013, za pośrednictwem Stowarzyszenia „Lokalna Grupa Działania – Kanał Augustowski i Rospuda”, pt. Wydanie publikacji „Druga strona małej planety” – Gmina Augustów w słowach i obrazach.

ISBN 978-83-936855-1-6



9 788393 685516